

CORNELL WOOLRICH



 SAGA /
EGMONT

WINNY MIŁOŚCI

CORNELL WOOLRICH



 SAGA /
EGMONT

WINNY MIŁOŚCI

Cornell Woolrich

Winny miłości

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Saga

Winny miłości

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Tytuł oryginału *Manhattan Love Song*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2011, 2022 Cornell Woolrich i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728125243

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

1

Na początku była tylko kształtem sunącym w moją stronę z oddali pośród całego mnóstwa innych robiących to samo. Sekundę później już była dziewczyną. Po kolejnej sekundzie — śliczną dziewczyną, elegancko ubraną. Wreszcie wcale nie obojętną dziewczyną, której oczy spytały: „Jesteś samotny?”, której cień uśmiechu dodał: „Przemów”. A do tego momentu zdążyliśmy się zrównać i właśnie się mijaliśmy.

Nasze spojrzenia jakby wykrzesaly iskrę w powietrzu.

Zawróciłem, podczas gdy ona szła dalej w swoją stronę. Stało się to zbyt szybko, by mogło ujść za prostackie czy choćby zauważalne. I uchyliłem kapelusza. Człowiek przecież uchyła kapelusza, gdy kogoś spotyka. A ja właśnie ją spotkałem, co każdy mógł zobaczyć. Niby nic nowego pod słońcem. Lecz tutaj chodziło o nią i chodziło o mnie. I na tym polegała cała różnica.

Ubrana była niemal w całości na niebiesko, tylko pończochy miała w kolorze lufy karabinu połyskującej w słońcu, tak cienkie, że stapiały się z prześwitującą różową skórą. W jej oczach mieszkały chochliki, które pojawiały się i znikwały: maleńkie rozbrykane oznaki kapiyśności i rozbawienia, tańczące figurki drwiny. Chwilami przeciągała samogłoski i miała to okropne powiedzonko: „W porząsiu?”.

— Nie mów tak.

— Dlaczego?

— To Trzecia Aleja.

— I co z tego?

— Albo i Madison...

— Czegoś takiego — rzekła — nie zrobiłam jeszcze nigdy w życiu.

Uśmiechnąłem się i spytałem, co to jest, owo „coś takiego”.

— Tamto, wtedy tam — wyjaśniła.

— Chodzi ci o sposób, w jaki mnie poznałaś?

— Ciebie czy kogokolwiek. Nie, doprawdy...

— Wade.

— Nie, doprawdy, Wade, wystarczyło, że na ciebie spoglądałam...

Wydawało się jej niedorzecznością, że mogę okazać się miły. — Przecież powinnaś mnie znać!

Ulica znikła, latarnie, taksówki i niebezpieczne skrzyżowania, gdzie człowiek ruszał, lecz zaraz musiał się cofać i trzymać blisko innych. Posiedzieliśmy czas jakiś gdzieś przy Siódmej Alei, a zawieszona pod sufitem wielka lampa, cała z blachy i fragmentów lustra, od czasu do czasu zaczynała się obracać, zsyłając kropelki światła, które wpadały nam do oczu i spływały po ścianach niczym nowa plaga w jeszcze nowszym Egipcie.

Zgasila papierosa w resztkach chop suey. — No to sobie pojadłam. A wracając do naszej rozmowy: Czy przy tym stoliku zasiada miłość?

Pewnie tak jak przy każdym jednym, który tutaj stoi, odpowiedziałem, może z wyjątkiem tego, gdzie samotnie siedział kantoński kasjer. Wiedziałem już, że rozmawiając z Bernice, mogę używać słów takich jak „kantoński”.

— Powiem ci, że ja nie czuję miłości. Ale czy przy tym stoliku zasiada miłość?

— Półmiłość — odparłem.

— To ja wolę pieczone jabłko — stwierdziła.

Jękliwa muzyka odpłynęła w dal, tancerze się rozplynęli, lampiony i pryzmatyczna lampa znikły, a w wysokim, białym

apartamentowcu Bernice rzekła:

— Kapelusze połóż, gdzie chcesz.

Siedziała z jedną nogą zgiętą w kolanie i podciągniętą pod siebie. Po drugiej, która dotykała podłogi, w górę i w dół przepływał srebrzysty blask, lepki jak rtęć. Było to zapalone w pokoju światło, które na oblekającym łydkę jedwabiu osiągnęło pełnię swej doskonałości. Tylko ona potrafiła pozie tak groteskowej nadać tyle swobody i wdzięku.

Dźwięki ze świata zewnętrznego dochodziły coraz rzadziej, za to coraz bardziej wyraźniej, co oznaczało, że zrobiło się późno. Lampy były jak planety otoczone przez świetliste pierścienie, których wcale nie ma. Łykanie przychodziło z coraz większym trudem, nie darzyło już podniebienia takim miłym chłodem jak wcześniej. Odstawiłem szklanę; głośno rozbrzmiał stukot, a potem długo jeszcze brzęczał mi w uszach. Tego, jak sobie uświadomiłem, podobnie jak aureoli wokół lamp, też w ogóle nie było.

— Według horoskopu to mój szczęśliwy kamień — oznajmiła, pokazując mi pierścione. — Urodziłam się w maju.

Po czym przyjrzała mi się uważniej i zrobiła coś dziwnego. Zdjęła pierścione i wpuściła go pod sukienkę.

— Kiedyś miałam pierścione — wyjaśniła — i przyjaciela. Straciłam i jedno, i drugie prawie jednocześnie. Rozumiesz, co mam na myśli.

„Lepiej się zmywać”, pomyślałem niepocieszony. Tylko że stopy nie chciały nawet drgnąć.

— Pójdę już — powiedziałem.

— To idź! — odparła.

Kiedyś czytałem o pewnym kwiecie, który wygląda zupełnie niewinnie i słodko, lecz gdy zbliży się do niego owad, nagle się wokół niego oplata i nie pozwala odlecieć;

tak właśnie utrzymuje się przy życiu, chwytając to, co znajdzie się zbyt blisko.

Ująłem jedną jej dłoń i przyciągnąłem do siebie, by potrzymać. Przyglądałem się tej dłoni, jak gdybym ją od niej odłączył, jak gdyby reszty wcale już tam nie było. Była bardzo delikatna, pełna wdzięku, smukła i pozbawiona bruzd, zakończona pięcioma małymi, błyszczącymi owalami przypominającymi wypalaną w piecu porcelanę. Bez wątpienia głaskała ta dłoń kotki i szczenięta, może jakiegoś mężczyznę albo dwóch. Jakiegoś *szczęściarza* albo dwóch. Bez wątpienia trzymała ułożone w wachlarz karty, ścisła kierownice roadsterów, wysokie, wąskie szklanki, a może nawet w żartach bądź ze śmiertelną powagą mieszczący się w damskiej torebce automatyczny rewolwer. Skąd to wiedziałem, jak mogłem zgadnąć? Przycisnąłem tę dłoń do ust, jakby chcąc w jednej sekundzie wchłonąć całą jej przeszłość, w której nie uczestniczyłem. Po chwili ogarnęło mnie znużenie i desperacja z powodu samotności tego rodzaju, który dotąd tak często i tak dobrze dane mi było poznać. Pokój niczym niezgrabna, sklecona naprędce karuzela, zaczął się wokół mnie kręcić, jakbym był jego osią. Zamiast kaliope grało mu moje serce. Bernice była częścią całego strumienia obrazów, który przepływał przed moimi oczami. Spoglądałem teraz na nią z dołu, z podłogi.

— Powoli — mruknęła. — Trochę się ciebie boję. Jesteś najlepszym aktorem w Nowym Jorku albo... spotkałam cię o osiem lat za późno.

Roześmiała się z czymś w rodzaju pogardy dla jakiejś własnej od dawna szanowanej wartości, która właśnie poszła w odstawkę.

— A ja myślałam, że znam ich wszystkich! Och, o dwunastej taka byłam pewna, że nic już nie może mnie zaskoczyć, a teraz, o trzeciej, znowu jestem tam, gdzie

byłam osiem lat temu, i *wierzę*, że to się *może* zdarzyć i że się zdarzyć *powinno*. Że pokój powinien wirować, a kolana odmawiać posłuszeństwa. Tak, tak właśnie powinno być; bez lepkich łap pod obrusem czy pledem, bez czeków w zaklejonych kopertach wręczanych przez kolorowego odźwiernego nazajutrz rano.

Jej oczy znalazły się na tym samym poziomie co moje, gdy zsunęła się na podłogę obok mnie; tuliły się do siebie nasze policzki.

— Przeszłość to kłamstwo. Przeszłość to coś, co już nie istnieje.

— Tak — przyznała potulnie.

— A czy możesz nazwać coś, co nie istnieje, prawdziwym?

— Nie.

— I czy przeszłość istniała kiedykolwiek? Czy nie tkwiła zawsze jedynie w naszych głowach?

— Ależ nie! — zaprzeczyła. — Na przykład osiem lat temu obecna przeszłość wciąż jeszcze była *przyszłością*.

— Nie staraj się myśleć jak mężczyzna, to po pierwsze — pouczyłem ją ponuro. — Osiem lat temu przeszłość nie istniała, tak samo jak teraz. Przeszłości nie ma *nigdy*, czy nie rozumiesz?

— Ponieważ ty jej nie chcesz. Och, Wade, wystawiasz się na straszne ciosy!

— Czy znałaś kiedyś kogokolwiek przede mną? Czy ktoś cię kochał, zanim to ja cię pokochałem? Zatem dlaczego nie ma ich tutaj, przy twoim boku, gdzie ja jestem?

— Pokój byłby pełen ludzi — szepnęła.

— Gdzie oni są? — nie ustępowałem. — Jak możesz *dowieść*, że ich znałaś, *dowieść*, że cię kochali, *dowieść*, że naprawdę istnieli?

— Och, Wade — zawołała żałośnie. — Nie mogę! Mogłabym ci jedynie pokazać anulowane czeki!

Buntując się, scalałem przeszłość z jej warg. Ucałowałem jej oczy i zobaczyłem opadające powieki. Byliśmy jak dwie obłąkane, umierające istoty, które duszą się, zrywając własne więzy.

Słońce, kiedy je wreszcie zobaczyłem, było słabe jak blada lemoniada spływająca na podłogę i ściany. A senna mgła w moich oczach sprawiła, że nawet to wydało się co najwyżej odległą poświatą, nie do końca uzmysłowioną, jak plusk wiosła gdzieś daleko na morzu.

U mego boku poruszyła się ona, otwierając oczy.

Palec u jej nogi utworzył na moment maleńką piramidę z tafty barwy orchidei. Po chwili piramida znikła.

Skuliła barki i ziewnęła. Po czym szybko zakryła dłonią usta, spojrzała na mnie z ukosa i sapnęła:

— Przepraszam. Zapomniałam, że tutaj jesteś.

Zatkało mnie. Rozdziawiłem usta.

— Gdy jestem sama — wyjaśniła — mogę ziewać, ile chcę. Zapomniałam.

Rozejrzałem się, lecz nie spostrzegłem niczego, co mógłbym na siebie założyć, poza mgiełką brzoskwiniowej tkaniny, o której przypomniała sobie u schyłku minionej nocy. Owinąłem się nią i niechcący zrobiłem otwór na rękę tam, gdzie go nie było, zwyczajnie pchając dłoń, gdzie nie trzeba. Spojrzałem na nią ukradkiem. Nie zauważyła, co się stało. Wyszedłem z pokoju, a w pomieszczeniu obok stanąłem oko w oko z kolorową kobietą, która z najwyższą obojętnością na twarzy opróżniała popielniczkę.

Podniosła wzrok i rzekła: — Dzień dobry! — bez najmniejszego wahania i nawet po tym, jak jej bystre oczy spoczęły na moment na peniuarze, w który zawinąłem się jak w togę, bezwładnie zwieszając jedną nagą rękę, nie uśmiechnęła się, taka była opanowana.

— Niech pan to zostawi pod drzwiami, jak pan już tam wejdzie — powiedziała szeptem współspiskowca. — Zaszyję tak, że nie zauważy.

Być może jednak była to tylko jej strategia, taka chęć dogodzenia każdemu, zwłaszcza komuś, kogo zobaczyła właśnie pierwszy raz.

Bernice zawołała nagle głosem, który rozniósł się po mieszkaniu: — Napuść mi ciepłej wody, Wade, i wrzucić dużo tych różowych kryształków.

Kolorowa kobieta odpowiedziała, delikatnie protestując: — Ja tutaj jestem, panno Pascal.

— Niech on to zrobi — rozkazała. — Ty możesz pozmywać po wczorajszym wieczorze.

Natychmiast przyswoiłem sobie jej brak dobrych manier. — Możesz poczekać — krzyknąłem chrypliwie. — Teraz to ja jestem w łazience. I przypuszczam, że nie masz brzytwy?

— Och, porozkazuj mi jeszcze trochę — odrzekła ospale. — To takie miłe dla ucha. Nie, tylko taką wygiętą, do pach. Ale na dole jest fryzjer męski. Mogę zadzwonić i powiedzieć, żeby tu jedną przez kogoś przysłali.

— Lepiej niech pani tego nie robi, panno Pascal — wtrąciła pospiesznie kolorowa kobieta. — To nie będzie dobrze wyglądało.

— Och, przecież i tak wiedzą — odkrzyknęła szczerze Bernice.

— Ale to już trochę zbyt zuchwałe — stwierdziła jej mentorka.

Usłyszałem zaskoczone sapnięcie. — Tak mi się podoba i już! — Nic więcej jednak nie zostało na ten temat powiedziane.

W południe ostatecznym gestem (któremu towarzyszyło stosowne nastawienie psychiczne) zgasłem papierosa w filizance z fusami po kawie, podniosłem się i na nią

spojrzałem. Kolejny raz, co nieuniknione, wydała mi się inna. Była teraz leniwa, ospała, pulchna. Mniej intrygująca, mniej pociągająca niż w którejkolwiek chwili od naszego poznania zeszłego wieczoru. Oblizywała czubek palca, by zebrać z niego ostatnią wyimaginowaną drobinę smaku, jaka została tam po słodkiej brioszce, którą zjadła parę minut temu. Gdy skończyła z tym palcem, przeszła do następnego i tak po kolei, ale dosyć szybko, tak iż cała czynność zaczęła przypominać obraźliwy gest grania na nosie. Na moment przyszło mi nawet do głowy, że może o to chodzi, lecz spostrzegłem, że dłoń ma skierowaną w bok, nie na mnie. Cały rytuał został zakończony wytarciem palców w serwetkę i rzuceniem jej na stół.

— Żegnam — powiedziałem. — Żegnam cię w całej twej mnogości.

— To jest mnie aż tyle? — roześmiała się. — A która ja podobą ci się najbardziej? — W tej chwili spojrzała na jedną z poduszek i uderzyła w nią pięścią.

— Kolejna pomyłka — powiedziałem tylko.

Podrzuciła głowę.

— Na miłość boską — rzuciłem z irytacją — miałaś wieczorem rację co do kalorii. Popatrz na te swoje ramiona!

I pchnąłem je lekko, pogardliwie. I jakoś tak ją pocałowałem. I nagle znów byłem zakochany, reakcja polegająca na *odwrocie* od miłości dobiegła końca, a ona znowu była gibka i smukła, i ze wszech miar pociągająca.

— A zanim wyjdę — rzekłem, kucając z rękoma na kolanach, tak że nasze twarze znalazły się na jednym poziomie — powiesz mi coś? Kim on jest?

— Kim jest kto? — spytała. — O czym ty mówisz?

— Wiem, że nie zajmujesz się szyciem kapeluszy ani nie zarabiasz na życie jako praczka.

— Nie — odparła — to robota dla głupich ludzi. Choć z drugiej strony tylko głupi ludzie mogą być czasem

absolutnie szczęśliwi.

— No to jestem głupi — zapewniłem ją — od dziewiątej zeszłego wieczora.

Papieros drżał jej pomiędzy wargami, gdy mówiła: — Superdialog nam się ułożył. Jaki będzie tytuł przedstawienia?

— Do widzenia — powiedziałem, stając prosto.

— Trafisz do wyjścia?

— Do wyjścia trafię z pewnością. Pytanie, czy trafię tu jeszcze kiedyś z powrotem?

— A trafisz? Map drogowych nie rozdają.

— Ty tu rządzisz — zauważyłem z miną filozofa.

— A gdybyś — rzekła, w zamyśleniu szczypiąc dolną wargę — spisał numer tego telefonu... — Paznokciem kciuka zastukała w niewielki kremowy aparat telefoniczny. — Ale najpierw musisz mi coś obiecać. Nie pozostawaj na linii, gdy usłyszysz w słuchawce głos inny niż mój. Rozłącz się od razu bez słowa. Zrobisz to? Nie prosź mnie do telefonu, nie mów nawet „halo”. Znasz przecież mój głos, a Tenacity nigdy tu nie ma wieczorami. To ten smoluch — wyjaśniła mi, kim jest Tenacity. — Zatem to całkiem proste.

Zacząłem, gwizdać, gdy tylko zamknęły się za mną drzwi. Być zakochanym — kurczę, super!

Obejrzałem się, a jej dom zniknął, wsiąkł, został wchłonięty przez kamienne ruchome piaski Nowego Jorku. Chwilę później wsiąłem w nie sam, dając nurka do żelaznej budy z przeszklonym dachem, która stała na chodniku, zbiegłem po betonowych schodach, po których jak lawa spływało letnie powietrze, i znalazłem się na betonowym peronie zalanym słabym, przyćmionym przez kurz światłem. Rumor, syk, nagły podmuch powietrza niosącego na swoim łonie strzępy gazet i peron po drugiej stronie zniknął za długim szeregiem brudnych, oświetlonych okien i pneumatycznych drzwi, które rozsunęły się z łatwością niczym tajne przejście w powieści kryminalnej. Gdy jednak próbowały się na powrót zamknąć, jak zawsze zjawił się jakiś spóźnialski, a to przy jednym wagonie, a to przy następnym, który wcisnął się w ostatniej chwili ze wstydliwym uśmiechem satysfakcji, aż zjawił się konduktor i z chmurnym spojrzeniem domknął drzwi jednym ruchem ręki.

Widziałem, że są wolne miejsca, ale byłem tak przyzwyczajony do stania, że i tak pozostałem na nogach z dłonią przewieszoną przez ceramiczny uchwyt. Lepiej się czułem, stojąc. Należałem do tego wymierającego gatunku, którego przedstawiciele, jeśli już zajęli miejsce siedzące, to ustępowali go pierwszej kobiecie, która wsiadła, chyba że była zbyt korpulentna lub czuć ją było czosnkiem. Był to ekspres, dlatego wszystkie zwykłe pociągi jadące w tym samym kierunku bez trudu go wyprzedzały. On z kolei mozolnie mijał je na pośrednich stacjach po to tylko, by znowu zostać wyprzedzonym chwilę

albo dwie później. Zamysł zdaje się był taki, że skoro raz już stał się ekspresem, to mógł spokojnie spocząć na laurach.

Znowu po schodach na górę, a po drodze spotkanie ze świeżym powietrzem, które zdawało się mówić: „Witaj. Już wróciłeś?” Deszcz słonecznych promieni, nogi przechodniów i nagle znów przed oczami całe miasto. Och, nie znaczy to, że o tym wszystkim myślałem; przemykało mi to po prostu przez głowę, która nie czyniła w tym kierunku żadnego wysiłku.

Obraz Bernice pognał w dal razem z pociągiem, z którego wysiadłem. Jego miejsce zajął inny, niosąc ze sobą zakłopotanie, onieśmienie i resztki wczorajszej chłodnej urazy. Włożyłem klucz do zamka i przekręciłem, lecz nawet gdy rygiel puścił i klamka została uwolniona, to przez chwilę jeszcze na nią nie naciskałem, tylko stałem z pochyloną głową, słuchając lub myśląc. Raczej myśląc, bo słuchać nie było czego. „Z podkulonym ogonem, jakbyś dostał baty”, skomentował jakiś wewnętrzny głos, a ja mu się postawiłem, wszedłem i głośno trzasnąłem za sobą drzwiami. W tej samej chwili skrzypnął fotel. Położyłem kapelusz na trójnogim stoliku i stałem z ręką w kieszeni, oparty niedbale o framugę drzwi, zaglądając do pokoju.

W tej chwili obraz, który zastąpił wspomnienie Bernice, w jednej chwili opuścił moją głowę, zmaterializował się w pokoju i ukazał mi się w całej okazałości, ubrany w domowy bezrękawnik z nałożonym na wierzch podgumowanym fartuchem. Żadnych brzoskwiniowych peniuarów. Nieco spękane czółenka ze sztucznej skóry z dziecinnymi paseczkami na podbiciu, jedno obok drugiego na podłodze, nieporuszone w gniewnej determinacji. W nich tkwiły te same drobne, zgrabne stopki, które tańczyły ze mną przed ośmiu laty do melodii *Japanese Sandman*, które całowałem tyle razy gorąco i na które raz, znacznie

później, nastąpiłem całym ciężarem, żeby krzyknęła, żeby zrozumiała, kto tu jest panem i dlaczego nie wolno jej niczym we mnie rzucać, zwłaszcza gorącą kawą.

Mój widok pobudził Maxine do działania. Poderwała się z krzesła tak nagle, jakby wystrzeliła pod nią sprężyna, a ona zlekceważyła ją, dyndając za plecami, i ruszyła z pokoju w przeciwnym kierunku, do sypialni. Przyszło mi do głowy, że jak to baba, wybrała sobie na to najgorszy moment. Już samo skrzypnięcie krzesła, gdy byłem jeszcze przy drzwiach, powiedziało mi, że mnie usłyszała. To wtedy powinna była opuścić pokój, skoro tak zamierzała. Ale nie, musiała poczekać i upewnić się, że *zobaczę*, jak wstaje i wychodzi, by tym dobitniej pokazać mi, o co chodzi. Gdyby to był mężczyzna, a czyjś widok był dla niego tak nieznosny, jak rzekomo mój dla niej, to wstałby od razu i nie czekał, żeby być przy tym zauważonym.

— Słuchaj... — zbuntowałem się.

— Nie gadam z tobą — odpowiedziała, lecz wbrew wszystkiemu została w pokoju i odwróciła się do mnie, by jednak mi nagadać. — Więc w końcu uznałeś, że pora wrócić do domu, co? Może dlatego, że zgłodniałeś albo postanowiłeś się ogolić, he?

— I tu się mylisz — roześmiałem się ponuro. — Po drodze minąłem chyba z milion golibrodów.

— Twoim zdaniem pewnie powinnam czuć się zaszczycona, że w ogóle raczyłeś wrócić. A wiesz, cudownie mi było bez ciebie, tak cicho i spokojnie!

— Z pewnością — odrzekłem — przy grających radiach wszystkich sąsiadów.

— Spróbuj tak jeszcze raz — zagroziła — a nie znajdziesz mnie tutaj, kiedy wrócisz!

Oderwałem się w końcu od drzwi i wszedłem do pokoju. Rozsiadłem się w fotelu i zapaliłem papierosa. —

O co ci chodzi? — spytałem. — Znowu zaczynasz? Nie dosyć ci było wczoraj?

— Wydaje ci się — ciągnęła — że za każdym razem, jak coś się dzieje, wystarczy wyjść z domu i cześć. Potem możesz wrócić, kiedy ci przyjdzie ochota, i wszystko będzie cacy.

Rozpłakała się.

— Zachowujesz się, jakby ci w ogóle nie było przykro. Och, Wade, te wszystkie okropności, które wczoraj powiedziałeś! Dręczyły mnie całą noc.

Za oknem czyjeś radio zaczęło grać *Buziaka na zgodę*. Nachyliła się nade mną tak, że zetknęły się nasze czoła. Zamknąłem oczy, skupiłem się mocno na Bernice i pocałowałem ją gorąco. Musiała jednak coś zauważyć, bo ze śmiechem podszytym poczuciem krzywdy rzekła:

— Zupełnie jakbyś brał lekarstwo, co?

Powiedziałem, że wcale nie.

— Jak do tego dochodzi? — spytałem jeszcze.

Bóg świadkiem, że nie powinienem się tak czuć. Przyglądałem się jej, gdy stała przy oknie i wyglądała na dwór, jedną ręką trzymając przypiętą do ramy zieloną firankę. Była młoda, młodsza ode mnie, na pewno młodsza od Bernice. Miała szczupłą talię. Postanowiliśmy, że nie będziemy mieli dzieci. Ja nie chciałem. W jej życiu też nigdy żadnych nie było, więc nie wiedziała, co traci, i w związku z tym wcale jej ich nie brakowało. Dlatego też jej figura i jej twarz wyglądały dokładnie tak samo jak tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy na nią spojrzałem. Patrzyłem jednak na tę twarz co dzień i tak już tysiące dni. To znaczy, nawet Kleopatra sprzykrzyłaby się człowiekowi, i to w krótszym czasie. Co więcej, Maxine nigdy nie wyrosła z mód i dziwactw okresu, w którym ją poznałem. Zupełnie jakby zmumifikowała się zaraz po naszym ślubie. Nadal nosiła skołtunione, nierówno

obcięte włosy na pazia jak w roku 1920. Nadal, gdy wychodziła, nakładała na policzki róż tak, że wyglądał jak wypieki. Chociaż od dawna już z nią nie tańczyłem, podejrzewałem, że nadal potrząsałaby w mych ramionach całym swoim ciałem. Epoka jazzu była żalosna sama w sobie, ale musieć żyć z jej reliktem — tego już było za wiele. Choćby nie wiem, jak atrakcyjnie wyglądał.

— Pojęcia nie masz — mówiła, wciąż stojąc przy oknie — przez co przeszedłam tej nocy i dzisiaj rano.

— Musimy skończyć z tym dręczeniem się nawzajem, oboje — zasugerowałem z przygnębieniem.

— Ciekawa rzecz z tymi mężczyznami — ciągnęła, jakby rozmawiała sama ze sobą. — Na początku ganiają za tobą, nie dają ci spokoju, żyć bez ciebie nie mogą. A potem, jak tylko zaczniesz myśleć tak jak oni, gdy powiesz sobie: „Tak, miał rację, ja też nie mogę bez niego żyć”, wydaje się, że nagle wszystko im przechodzi. Gdy tylko coś się zaczyna dziać, wychodzisz z domu, trzaskasz za sobą drzwiami, a ja wiem, co sobie myślisz, zupełnie jakbym siedziała w twojej głowie. Myślisz: „Na jakiś czas mam jej dość! Nie mam zamiaru o niej myśleć, dopóki się nie uspokoję i nie będę gotów wrócić”. A ja siedzę tutaj i przez cały ten czas, gdy cię nie ma, myślę tylko o tobie. Zabawne i tyle.

— No to teraz jestem — rzekłem, wzdychając w duchu — więc chodź tutaj i jeśli masz ochotę jeszcze popłakać, to obetrę ci łzy, a jeśli zechcesz się uśmiechnąć, to odpowiem ci uśmiechem.

Nie płakała już, ale też nie bardzo się uśmiechała; zdawało się, że zadowala ją samo to, iż trzymam ją w ramionach. „Dobry Boże! — pomyślałem. — Co ja mam zrobić z tym dzieckiem? Chciałbym, żeby nagle zakochała się w kimś innym”. Pogłaskałem ją po czubku głowy i przytuliłem do niego policzek, dotknąłem ucha, gdzie tkwił

mały wiszący kolczyk z fioletowym szkiełkiem, uniosłem go na palcu i opuściłem — durna ozdóbka.

Zbyt byłem wyrachowany, by żałować, że ją w ogóle poznałem, że się z nią ożeniłem, bo nasza miłość, gdy trwała, była piękna, jednak przez całe swe życie nienawidziłem odpowiedzialności, a nie istniała gorsza odpowiedzialność niż ta, kiedy musiałem starać się, by nadal mnie kochała, podczas gdy sam już jej nie kochałem, chyba że z nawyku.

— I siedziałam tak do drugiej — opowiadała — aż zaczęły mnie piec oczy, więc zgasiałam światło i dalej siedziałam w ciemności. Myślałam, że lada chwila zadzwoni telefon, powtarzałam sobie: „Nie mogę teraz pójść spać, nie mając od niego żadnej wiadomości. Mój Wade nigdy dotąd mi tego nie zrobił”. Ale telefon zwyczajnie nie raczył zadzwonić. Wstałam raz, wzięłam go do ręki i potrząsnęłam, a on dalej milczał. Po jakimś czasie zrobiło mi się wszystko jedno, najgorsze minęło, nie mogłam czuć się już podłej niż w tamtej chwili. Rozumiesz to, prawda, kochanie? Po prostu nie mogłam dłużej tak strasznie tego pragnąć. Zupełnie mnie to wyczerpało. Przymknęłam na moment oczy i nagle znowu było jasno, a śmieciarz dobijał się po śmieci. Miałam ochotę spaść do zsypu razem z nimi. I wtedy właśnie najgorzej się rozplakałam, gdy do kuchenki zajrzało słońce, a ja poczułam zapach smażonego bekonu i usłyszałam tę kobietę nad nami: „Wstawaj, Sam, kawa już na stole”. Jejku, jak cudnie byłoby w tym momencie zobaczyć twój poranny dąs, usłyszeć, jak narzekasz: „Gdzie, do diaska, podziały się ręczniki?” i „Jezu, jak ja nie znoszę tego mieszkania!”, i tak dalej. Zateśkniłam nawet za tamtym rankiem, gdy rzuciłeś we mnie kubkiem z kawą; miałam cię wtedy przy sobie i to nic, że poparzyłeś mi dekolt...

Zaczynało mnie to wszystko drażnić. Zakryłem jej usta ręką. Nie chciałem słuchać, jak bardzo mnie kocha.

Jeśli nie mogła mi powiedzieć, że staję się jej obojętny, tak jak ona mnie, to powinna przynajmniej siedzieć cicho.

— To nie jest miłość, Maxie, to... to prawie hipnoza. Musisz przestać, nie chcę tego słuchać. Za wysoko mnie oceniasz.

„I za bardzo mi wszystko utrudniasz”, dodałem w myślach.

Usiedliśmy, żeby zjeść. Maxine opuściła blat składanego stolika przy ścianie i ustawiła na nim pomarańczowo-zielone naczynia, które przywędrowały z Japonii z przystankiem w komisie. Do jedzenia mieliśmy zupę pomidorową z puszki, spaghetti z puszki, ananasa z puszki i zagęszczone mleko z puszki. Chleb nie był z puszki, ale sprzedawali bochenki maszynowo owinięte w woskowany papier i od razu pokrojone.

— Cóż to za bezmyślność — zauważyłem, żeby przerwać milczenie — kazać nam trudzić się przy smarowaniu masłem. My, pionierzy, mamy naprawdę ciężkie życie.

— Cóż — odparła, krzątając się pomiędzy kuchenką gazową a stolikiem — choć niewiele było do zrobienia, to ja swoje zrobiłam. A ty potrafisz tylko kropić się kolońską, że pachniesz potem jak cały zakład fryzjerski.

W tej samej chwili usłyszeliśmy, jak nad naszymi głowami z oburzenia stuknęło krzesło, a kobieta z piętra wyżej mocno rozeźlona odezwała się do męża:

— Ach *tak* ? Jak jesteś taki wybredny, to nie jedz wcale! Twój problem!

— Ciekawe, co tam mają — zasugerowałem. — Jak on nie chce, może my byśmy zjedli...

— Co się z tobą dzieje, Wade? — zganiła mnie Maxine. — Zwariowałeś!

— Czyżby to było wyzwanie? — odparłem.

Słuchaliśmy jeszcze przez chwilę.

— Uwierz mi — padło — mam ciekawsze rzeczy do zrobienia niż sterczenie całymi dniami przy kuchence, żebyś mógł się najeść. Zamknij się już!

Ten ostatni wybuch byłby słyszalny nawet w znacznie porządniej zbudowanym domu niż nasz. Pomyślałem: „To będzie dla niej wielki sukces; nie odmówi mi”, i pogratulowałem sobie znanstwa kobiecej psyche.

— Znasz ją? — spytałem Maxine pełen zapału.

— Nie — odrzekła — i to nie jest dobry moment, żeby im przeszkadzać. Zniechęci cię. Wracaj tutaj.

Podszedłem do szybu windy towarowej, otworzyłem drzwiczki i zawołałem: — D dwanaście! Hej, tam, w D dwanaście!

Drzwiczki nade mną otworzyły się i męski głos warknął: — Kto tam?

— Piętro niżej — odparłem radośnie. — Trudno było nie usłyszeć przed chwilą pańskiej żony. Niech pan posłucha, przyjacielu, może podesłałby nam pan trochę tego dania, cokolwiek to jest? My tutaj rzadko jadamy domowe potrawy.

Usłyszałem jęk Maxine dochodzący z głębi kuchenki. — Och, Wade, jesteś okropny! Nawet nie wiesz, jak mi wstyd!

Dżentelmen, z którym wdałem się w rozmowę, odpalił zadzierzyście:

— Taki jesteś mądry, hę? To może naucz się pilnować własnego nosa!

Po czym drzwiczki się zamknęły. Zaczekałem. Po chwili otworzyły się znowu, a kategoryczny głos kobiety zawołał:

— Halo? Halo, tam w dole?

A ja wyciągnąłem rękę za plecy, chwyciłem podsluchującą Maxine za łokieć i pociągnąłem do przodu, zamieniając się z nią miejscami.

— Tak — odezwała się z zakłopotaniem — mojemu mężowi wpadło do głowy, że chciałby dla odmiany